

Wojciech Stanisławski: Monologi monad

Być może obligatoryjne stanie się weryfikowanie pod kątem narracji o niebinarności wszystkich dzieł literackich, niezależnie od tego, czy będzie to zbiór limeryków o wielorybnikach czy powieść produkcyjna o flandryjskich kopalniach torfu – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Gniew, bogini, opiewaj Achilla, syna Peleusa. Ale nie na Achajów, jak skłonni bylibyśmy sądzić (lub, w owianym tradycją przekładzie Franciszka X. Dmochowskiego, na „greckie narody”) – lecz na Homera, który ośmielił się śpiewać o synu Tetydy, nie wiedząc zgoła nic o jego życiu, a przynajmniej nie znając go z pierwszej ręki. Nie wiedząc, jak to jest skąpać się jako niemowlę w wodach Styksu, słuchać nużących nauk Chirona, pędzić dni w przebraniu białogłowy wśród córek Lykomedesa. Krótko mówiąc, nie wiedząc o niepowtarzalnych doznaniach i d o ś w i a d c z e n i a c h Achillesa.

To nie żarty, to najnowszy krzyk mody w branży wydawniczej, jak na razie w Stanach. Przed wydaniem książki nadzwyczaj wskazane jest obecnie skonsultowanie jej treści ze współpracownikiem, który przejrzy ją pod kątem kwestii i doświadczeń swoistych dla jej bohaterów, uzupełniając ją (lub wykreślając) tam, gdzie autorowi i redakcji zabrakło kompetencji lub najzwyczajniej w świecie wrażliwości. Tekst stanie się dzięki temu bardziej wiarygodny, bardziej plastyczny oraz, co

też przecież nie jest bez znaczenia, uchroni oficynę przed pozwami, z jakimi mogłyby wystąpić osoby, które poczuły się skarykaturowane, wydrwione, dotknięte lub wyśmiane. Mówiąc krótko: zranione.

Okropny wolny rynek wymusza, jak wiadomo, specjalizację, komercjalizację i agresywny marketing ofert. Nastąpiło to również w tak wyspecjalizowanej dziedzinie, jak lektura manuskryptów pod kątem białych plam we wrażliwości autora. Nowa profesja znana jest jako *sensitivity reader* i istnieją już spore firmy, oferujące (podobnie jak biura pośredniczące na rynku tłumaczy, korektorów czy grafików) bardzo szeroką paletę uważnych czytelników. Jedną z największych na rynku jest firma Salt and Sage Books, która proponuje usługi pięćdziesięciorga konsultantów. Ich krótkie oferty – wypunktowane w równoważnikach zdań obszary szczególnej wrażliwości i kompetencji – stanowią lekturę niezwykłą, kto wie, czy nie bardziej zajmującą niż niejedna książka.

Nowa profesja znana jest jako „sensitivity reader”

Na pięćdziesięcioro ekspertów Salt and Sage czterdzieścioro dziewięcioro deklaruje szczególną

kompetencję w zakresie niebinarnej lub niestandardowej orientacji seksualnej. Mniej więcej trzy czwarte jest również skłonne przejrzeć dowolny manuskrypt pod kątem doznań z zakresu ciężkich schorzeń psychicznych: schizofrenii, depresji, manii suicydalnej lub osobowości *borderline*, zwykle połączonych z powtarzalnymi epizodami hospitalizacji. Blisko połowa jest nosicielami doświadczeń związanych z dwój-, trój- lub wieloetnicznym i wielokulturowym pochodzeniem.

Szczególnie zafrapował mnie redaktor deklarujący korzenie inuickie, irokeskie i aszkenazyjskie, co dość prędko przywodzi na myśl cenioną w wieku wczesnolicealnym krotochwilę o Samuelu Winnetou.

Jedna trzecia gotowa jest konsultować dzieła literackie pod kątem doświadczeń związanych z doświadczaniem przemocy domowej, gwałtu, pochodzeniem z rozbitej rodziny oraz, samotnego rodzicielstwa i posiadania dzieci z poważnymi problemami behawioralnymi lub psychicznymi. Doświadczenia otyłości lub anoreksji (i doświadczanego z tej racji odrzucenia), ateizmu, wrzodziejącego zapalenia okrężnicy, niedosłuchu i implantów przyusznych, lecz także, na szczęście, uprawiania łucznictwa i/lub magii hawajskiej, parzenia herbaty, podnoszenia ciężarów i jazdy na Harleyu rozdzielone są mniej więcej równo między tych pięćdziesięcioro wrażliwych czytelników.

Oczywiście, podobna dawka realiów musi rodzić szereg niewesołych refleksji. Na podstawie obszarów kompetencji, które deklaruje na przykład Nicole Hawken (przemoc emocjonalna ze strony dorosłego; doświadczenie przemocy seksualnej; doświadczenie bycia dzieckiem osoby chorej psychicznie; doświadczenie własnych kryzysów psychicznych obejmujących depresję, uzależnienia, chorobę dwubiegunową a w konsekwencji dłuższą hospitalizację; udział we wspólnocie Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich; depresja poporodowa; samotne rodzicielstwo; posiadanie dziecka depresyjnego; doświadczenie podsądnej sądów rodzinnych; znajomość realiów Kentucky, Luizjany i Karoliny Południowej) można napisać, nawet bez udziału konsultanta z Salt and Sage Books, historię, od której ściska się serce. Można zastanawiać się nad ewolucją koncepcji intymności, która pozwala na deklarowanie na forum publicznym, pod

nazwiskiem i ze zdjęciem, nie tylko swej orientacji seksualnej i nietuzinkowych upodobań erotycznych, ale również swych schorzeń i nałogów (nimfomania, fenantyl, kleptomania), dramatów rodzinnych, krzywd i niepowodzeń. Ba, ciekawość budzi nawet elastyczność kwestionariusza, który pozwala wpisać na równych prawach na listę doświadczeń „chrześcijaństwo”, „astmę” oraz „grę w rugby” (w kobiecej drużynie amatorskiej).

Można też spojrzeć na sprawę od strony realiów wydawniczych: trudno powiedzieć, czy twórcy Salt and Sage żywią nadzieję, że z czasem wszystkie powieści pisane będą o osobach o orientacji niebinarnej, czy jedynie na to, że obligatoryjne stanie się weryfikowanie pod kątem narracji o niebinarności wszystkich dzieł literackich, niezależnie od tego, czy będzie to zbiór limeryków o wielorybnikach czy powieść produkcyjna o flandryjskich kopalniach torfu. W każdym razie trudno nie zauważyć pewnej nadreprezentacji, czy może ostrożniej – obfitości oferty niebinarnych *sensitivity readers*, ciekawe, jakie kryteria decydują o przyznaniu im kolejnej książki do weryfikacji: czy w pakiecie lepiej mieć prześladowanie z powodu otyłości, czy chroniczne zapalenie łąkotki. Zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy w imię dywersyfikacji wrażliwości nie powinienem był aplikować do Salt and Sage: jako binarny katolik byłbym tam prawdziwym rodzyńkiem, cennym uzupełnieniem portfela, a jeśli chodzi o poczucie *esprit du corps* z resztą ekspertów, mam przecież astmę.

Mniejsza jednak o tego rodzaju dworowanie. Mniejsza i o obserwację, którą dzieliłem się już kiedyś: nawet, jeśli przyjąć by, że Salt and Sage kieruje się przy zatrudnianiu polityką równych szans (w której to kwestii mam pewne wątpliwości) i dysponuje nieograniczonym budżetem – po prostu nie sposób uruchomić takiego trybu lektury,

Jako binarny katolik byłbym tam prawdziwym rodzyńkiem, cennym uzupełnieniem portfela, a jeśli chodzi o poczucie esprit du corps z resztą ekspertów, mam przecież astmę.

który uwzględniałby wszystkie istniejące wrażliwości i obolałości.

Oczywiście: swoje postrzeganie świata mają dziś osoby niebinarne i Afroamerykanie (a, jak się okazuje, również Inuici): ale przecież istnieją

jeszcze i wielorybnicy, i katolicy, i Morawianie, i mołokanie. Ludzie chcą podkreślać swoją osobność, wielu lubi czuć się ofiarą: jaka redakcja zdoła to uwzględnić?

Inicjatywa Salt and Sage sięga jednak do sytuacji bardziej pierwotnej i jeszcze dobitniej zwiastującej – jeśli miałyby się powieść – kres powieści. Szerzej – dzieła literackiego jako tworu, który pozwala wyjść poza własną kondycję, doświadczyć (choćby w sposób niedoskonały) kondycji innych ludzi i wreszcie – spotkać się w tym akcie lektury i postępującego za nią współczucia z innymi czytelnikami. Niezależnie od rozmaitych koncepcji i teorii dzieła literackiego – to przecież dają nam Homer i Jane Austen, Astrid Lindgren i Sołżenicyn, powołując uniwersum postaci wymyślonych, wywołanych z niebytu, które zostają z nami na zawsze: Nauzykaa i pan Darcy, Liza i Sołogdin. A my dotąd wierzyliśmy, że opisali je wiernie: czasem, owszem, udzielając im części siebie – ile Flauberta w Emmie Bovary? – a czasem po prostu patrząc.

Literatura, jakiej zdają się pragnąć organizatorzy twórczości z Salt and Sage to monologi monad, skupionych wyłącznie na swoich doznaniach, bardzo pilnujących się, by nie wyrazić swojej opinii czy przekonania na temat kogokolwiek innego, nie opisać go ani nie wypowiadać się w jej/jego imieniu, bo będzie to miało charakter krzywdzącej uzurpacji. A i tak warto będzie, na wszelki wypadek, przepuścić taki zapis obserwacji własnego pępka przez czujne, niestrudzone oczy Inuity z astmą.

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj inne felietony z cyklu „Barwy kampanii”